

№ 37 Rok XXII.

Dnia 1 (14) Września 1901 r.



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.



W lesie.

W lesie.

*Śpij dziecińo moja miła,
Niech cię słodki sen utuli,
Długa droga cię zmęczyła,
Śpij, jak w chacie u matuli.
Miej sny złotem malowane
Z różnobarwnej tęczy tkane.*

*Śpij, ja czuwam tutaj blisko
I obronię od przygody...
Za drzewami słońce nisko,
I niedługo miesiąc młody
Cienie nocy rozweseli...
Śpij, niech strzegą cię Anieli.*

Z. Z.

WAKACYE W WARSZAWIE.

POGAĐANKI O ARCHITEKTURZE

przez

Waleryę Marrené - Morzkowską

(Dalszy ciąg).

IX.

Kiedy zbliżali się do głównego wejścia od Saskiego Placu, Halinka spytała brata, pokazując mu kolumnadę

— Czy pamiętasz, jakie to są głowice?

— A tyś już zapomniała?

— Wcale nie zapomniałam, tylko ciebie się pytam.

— Jaka mi egzaminatorka — oburzył się Tadzio. —

Otóż nie powiem, powiedz ty.

— Nie macie o co się sprzeczać — odezwał się ojciec,

Halinka spytała się pierwsza, powinienes jej odpowiedzieć. A jak znów ty ją zapytasz, odpowie ci ona.

— Dobrze, ale pytania będziemy sobie zadawali po kolei?

Halinka zaczęła się śmiać a Tadzio sposepniał.

— Bo proszę ojca — wyrzekł — ona zawsze prędzej zapyta ode mnie.

— Ale dla czegoś taki powolny — odparła. — Czy to moja wina, że ja wszystko prędzej zobaczę od ciebie. No, ale kiedy ci tak o to chodzi, więc się wzajem pytać będziemy po kolei. A chcesz, to ci nawet powiem, jakie to kolumny stoją przed nami.

— Myślisz, że nie wiem. Przecież widzę, że mają na głowicach takie zwoje, jakby zakręcone rogi baranie i ojciec mówił, że kolumny z takimi zwojami nazywają się jońskie.

Tak rozmawiając, weszli do ogrodu główną aleją, okołoną ślicznymi dywanami z różnokolorowych koleusów i kwiatów.

W ogrodzie, pomimo letniego upału, w cienistych alejach panował chłód, lipy zaczynały kwitnąć, a powietrze przesycone było ich delikatnym zapachem.

— Doprawdy! — zawołała Halinka — tutaj tak przyjemnie, jak na wsi, lipy tak samo pachną, jak w Marczyńcu.

Na wspomnienie Marczyńca Tadzio westchnął, stanęły mu żywo w myśli wszystkie przyjemności jakich tam używał. Oboje z siostrą kochali kuzynków, jak rodzeństwo i myśleli nieraz o tej szkaradnej szkarlatynie, która stanęła pomiędzy nimi. Dzieci stryjostwa przebywali ją jedne po drugich, przy ciągłym niepokoju rodziców, którzy pisywali tylko krótkie listy.

Właśnie dzisiaj pan Jaczyński odebrał świeże wiadomości z Marczyńca i udzielał ich dzieciom, siedząc na ławce niedaleko wodotrysku. Na szczęście kuzynka Milcia, która pierwsza zachorowała, była już prawie zupełnie zdrowa, i była nadzieja, że straszna choroba i u dwojga innych chorych, weźmie obrót szczęśliwy. „Przebywamy jednak straszne chwile, czytał pan Jaczyński i wszyscy wyglądamy jakby z krzyża zdjęci.”

— Mój Boże — zawołała Halinka — o ile my jesteśmy szczęśliwsi od kuzynków. Chodzimy sobie po Warszawie, ojciec nas oprowadza po niej i tyle ciekawych rzeczy opowiada. Mnie się wcale nie nudzi, bo chociaż po obiedzie najczęściej siedzimy w domu i przeglądamy ryciny znane oddawna, teraz patrzymy na nie innemi oczami i szukamy tego, czego nas ojciec nauczył.

— Dawniej — dodał poważnie Tadzio — patrzyliśmy nie widząc nic, a teraz dzięki ojcuzszkowi możemy każdą część budowli nazwać.

— O nie wszystkie jeszcze, — zaoponowała Halinka — ale mamy przecież czas, wakacje długie. Ojciec nas wszystkiego nauczył. Nieprawdaż?

— Wszystkiego to chyba nie, — zaśmiał się pan Jaczyński — ale w każdym razie dowiecie się cośkolwiek o tem naszym mieście i jego pomnikach. Tymczasem pewno już odpoczęliście, chodźmy dalej.

— Chodźmy — zawołała Halinka, w której główce powstała jakaś myśl. Pociągnęła też ojca nad sadzawkę i zatrzymując się przed nią nagle, podniosła wzrok na kopic w którym mieści się zbiornik wody, uwieńczony okrągłym budynkiem i dodała prędko, zwracając się do brata:

— Aha! patrz tutaj, smukłe kolumny korynckie otaczają tę budowę.

— Ja jeszcze się nie zapytał.

— A ja już odpowiedziałam.

Popatrzyła chwilę na zgrabną budowlę odbijającą się w sadzawce.

— Jakie to ładne, ojciec, pamiętałam dobrze, że tu są kolumny dla tego chciałam iść w tę stronę! Dotąd wszystkie kolumny zdawały mi się do siebie podobne, a teraz byłam ciekawa, do jakiego porządku należą. A czy ten budynek jest w greckim stylu?

— Niekoniecznie; greckie budynki były z małym wyjątkiem prostokątne, Grecy nie znali łuków i sklepień, nie umieli stawiać kopuł. Budynek ten jest w stylu rzymskim. Takie świątynie okrągłe, otoczone kolumnami, obiegające mi je wokoło, zachowały się do dziś dnia w Rzymie i Tiwoli. W stylu rzymskim przeważają kolumny korynckie. Rzymianie też nie zachowywali pierwotnego charakteru kolumn, przystosowywali je do swoich potrzeb i smaku, a te wszystkie kolumny, któreście widzieli, choć zachowały głowice i nazwę doryckich, jońskich, korynckich, nie są już właściwie

greckimi. Odrodzenie wzorowało się na budownictwie rzymskim i myślny je po niem odziedziczyli.

— A jakie to są różnice? — spytał Tadzio.

— Różnice zasadzają się na szczegółach podstawy, na tem, że kolumny greckie były zawsze żłobkowane, w odmienny sposób doryckie, w odmienny jońskie i korynckie, tymczasem te wszystkie, któreśmy oglądali przy teatrze, w kolumnadzie ogrodowej i w zbiorniku są gładkie.

— A czy greckiego budynku niema wcale w Warszawie? — odezwała się Halinka.

— Niema nietylko w Warszawie ale w wielu innych miastach, bogatszych pod względem sztuki.

— To wielka szkoda. Ojciec pokazał nam kościół gotycki, kościół romański i wiemy jak je rozróżnić. Powinny być wszędzie próbki różnych stylów.

— Ty je pewno postawisz, jak będziesz budowniczym — odezwał się żartobliwie Tadzio.

— Pewno, żebym tak zrobiła. Chodząc po ulicach możnaby się wszystkiego nauczyć! Jakby to było ładnie.

— Mamy od tego ryciny — rzekł ojciec.

— Prawda, ale rycina nie daje tak jasnego wyobrażenia.

— A czy ci nie przyszło na myśl, że grecka budowla nie odpowiadałaby potrzebom dzisiejszym. Modlimy się tak samo, jak to czynili chrześcijanie pierwszych wieków, stawiamy więc kościoły i romańskie i gotyckie i takie, jak były pierwotne bazyliki, ale żyjemy zupełnie odmiennie niż Grecy, a co więcej, żyjemy w innym klimacie. Piękniebyśmy wyglądali w domach bez okien i bez drzwi, jak te, które oni mieli.

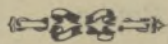
— Bez okien — zawołali jednogłośnie Halinka i Tadzio.

— Bez okien — powtórzył ojciec. — Grecy znali wprawdzie szkło, wyrabiali z niego czary i mozaiki, ale nie znali szyb, a co więcej, nie odczuwali ich potrzeby.

— Jakże to być mogło? powiedz nam ojciec — prosili oboje.

— Słuchajcie więc. Przy drzwiach od ulicy greckiego domu...

(d. c. n.)



Przygody królewicza Edwarda.

(Dalszy ciąg).

Król głęboko się zadumał, starając się koniecznie przypomnieć sobie, co się stało z pieczęcią państwa. Wtedy lord Hertfort przykląkł na jedno kolano i rzekł:

— Ośmielam się przypomnieć waszej królewskiej mości, że dała wielką pieczęć jego wysokości, księciu Walii do schowania, aż do dnia ..

— Prawda, prawda! przerwał król. — Biegnijcie! Przyńście ją, czas ucieka!

Lord Hertford szybkim krokiem udał się do apartamentów księcia Walii, lecz wkrótce wrócił bez pieczęci wielce zasmucony.

— Boleję nad tem, królu mój i panie, ale z woli Bożej brak panięci u księcia trwa dotąd, i jego wysokość w żaden sposób nie może sobie przypomnieć tej pieczęci.

Na tę wiadomość król jęknął boleśnie, a po chwili rzekł złamanym głosem:

— Nie męczcie biednego dziecka. Prawica Boża srodze nademną zaciężyła. Czemuż nie mogę na nią siewą głowę przejąć jego słabości! Zostawcie go w spokoju.

Umilkł i zamknął oczy. Po chwili otworzył je, a ujrawszy lorda kanclerza wciąż klęczącego, zawołał gniewnie:

— Jeszcze jesteś tutaj! Ależ na Boga, jeżeli raz na zawsze nie skończysz tej sprawy, to jutro i twoja głowa spadnie z karku!

Drżący kanclerz odpowiedział:

— Przebacz, wasza królewska mość! Lecz ja czekam na pieczęć.

— Oszalałeś chyba! Czyż nie możesz wziąć mniej-szej pieczęci, która leży w moim skarbku? Zanim znajdzie się wielka pieczęć, używajcie małej. Idź prędzej! I wtedy tylko możesz tu przyjść, gdy mi przyniesiesz jego głowę.

Gdy się to działo w sypialni królewskiej, Toma zaczęto wspaniale ubierać, gdyż miasto Londyn z orderem majorem na czele, dawno już zaprosiło króla na wspaniały bankiet. Król z powodu choroby nie mógł przyjąć zaproszenia, lecz obiecał przysłać w swoim imieniu księcia Walii z księżniczkami. Dnia tego właśnie miała mieć miejsce ta paradna uczta, i biedny Tom przez długą godzinę jak lalka przechodził z ręk do ręk, to go obuwano, to trefiono mu włosy, to ubierano, w końcu około godziny dziewiątej wieczorem, Tom prześlicznie ubrany w aksamit, złoto i gronostaje, wszedł w towarzystwie księżniczki Elżbiety i Janiny Grey do bogato przybranej łodzi, i przy dźwiękach muzyki i ogłuszających okrzykach tłumu, z licznym orszakiem popłynął Tamizą do miasta.

Wspaniale wyglądał cały ten korowód: miasto było uiluminowane, co chwila dawały się słyszeć salwy armatnie, łodzie oświetlone kolorowemi latarniami i ustrojone zieleńią mknęły po rzece, kołysząc się lekko. W samym środku City była wtedy przystań Tom wysiadł z orszakiem i w uroczystej procesji udano się do ratusza. Tutaj Lord Major i Ojcowie City, przyjęli go uroczyście. Zaprowadzono go do wielkiej sali, gdzie na wywyższeniu nakryty był stół dla księcia Walii i dla dwóch księżniczek. Lordowie i damy dworu zajęli odpowiednie miejsca poza krzesłami księcia i młodych sióstr jego, inni goście zasiedli przy wielkim stole, przygotowanym dla nich. W tej chwili wniesiono ogromny roast beef i wielki krajczy z powagą senatora zaczął go krajać.

Zanim podano tę narodową pieczęć trojgu młodym książętom, wszyscy powstali i naprzód odmówiono modlitwę przed jedzeniem, potem Tomowi podano złotą czarę z winem, z której napiwszy się, podał ją księżniczce Elżbiecie, ta ją podała księżniczce Janinie Grey, a później dokoła pili z niej damy i panowie zgromadzeni, następnie zabrano się do jedzenia.

Tom po odczytaniu uważnie książki o dworskiej etykiecie, wiedział już co miał mówić i jak postępować, a że był uważny i zdolny, więc bardzo dobrze wywiązywał się ze swej roli młodego następcy tronu.

Po kolacyi zaczęła się maskarada: najprzód weszło dwóch dygnitarzy przebranych za Turków, za nimi wkroczył poważnie ruski magnat w narodowym stroju, dalej weszło sześciu rycerzy niemieckich i cały orszak Maurów, niosących pochodnie. Weszli minstrele, śpiewali i grali, a później zaczęto tańczyć z ożywieniem.

Gdy cały ten różnobarwny tłum migał przed oczyma zachwyconego Toma, prawdziwy książę Walii u bram ratusza domagał się energicznie, aby go wpuszczono do sali ratuszowej. a rozweselony tłum biorąc słowa jego za żart, bawił się jego gniewem i szydził z niego. W końcu lży trysnęły z oczów biednego dziecka i zawołał:

— Choć mi nie wierzycie, niemądry ludzie, ja jednak jestem prawdziwym księciem Walii! Nikt mi nie chce pomódz w mojej przygodzie, lecz ja nie ustąpię stąd, bo tu moje miejsce!

— Nie wiem czy jesteś księciem lub nie, ale w każdym razie jesteś dzielnym chłopcem, więc ja będę twym obrońcą i przyjacielem, we dwóch damy sobie radę i rozpędzimy ten motłoch, gdyż miecz Milesa Hendon dotąd zawsze był zwycięski.

Słowa te wymówił człowiek wysoki, chudy, muskularny, ubrany w strój rycerski, niegdyś kosztowny, dziś spłowiały i zniszczony. Miał wielki miecz przy boku i w kapełuszu z połamanem piórom, wyglądał trochę zabawnie, to też tłum rozbawiony, przyjął słowa jego głośnym śmiechem.

— To pewnie drugi książę! Patrzcie tylko na niego! odebrać mu chłopca, i precz z nim!

I kilka rąk pochwyciło biednego księcia, aby go odebrać jego obrońcy, lecz nieznamy rycerz machnął w prawo i w lewo swym olbrzymim mieczem, temu i owemu dostało się porządnie, więc tłum cofnął się bojaźliwie. Po chwili jednakże kilku śmiałków zawołało zapalczywie:

— Niech żyje król!

Biedny Tom oszołomiony tem, co zaszło, patrzył zdziwionym wzrokiem to na księżniczki klęczące obok niego, to na lorda Hertford, nagle szepnął lordowi do ucha.

— Powiedz mi szczerze i prawdziwie, jeżeli ja teraz wydam rozkaz, taki, jaki tylko król ma prawo wydać, czy posłuchają mego rozkazu i nikt się nie sprzeciwi?

— Nikt, miłościwy panie w całym królestwie. Ty przedstawiasz majestat Anglii. Jesteś królem — twoja wola jest prawem!

Wtedy Tom nad wiek swój silnym głosem zawołał z błyszczącymi oczyma.

— A więc dosyć już krwi! Odtąd wola królewska będzie prawem łaski! Biegnijcie do wieży i powiedzcie, że król ułaskawia księcia Norfolk!

Ledwie Tom wyrzekł te słowa, lord Hertford zerwał się z kolan i prawie biegł przez salę, by zanieść tę radosną



Plac Św. Wacława i Muzeum królestwa Czeskiego w Pradze.

— Zabić go! zabić tego obcego przybłądę! — i podniecony w ten sposób motłoch, całą masą rzucił się na rycerza.

Miles jak prawdziwy bohater oparł się o ścianę najbliższego domu, i ktokolwiek podsunął się ku niemu, padał od razów jego miecza, którym wywijał jak piórkiem, trudno jednak przewidzieć, jakby się zakończyła ta szalona walka jednego człowieka przeciw tłumowi napastników, gdyby naraz nie rozległ się dźwięk trąb i donośnym głosem ktoś zawołał.

— Miejsce dla wysłannika królewskiego — tłum się rozstał przed zbrojnym oddziałem, z czego skorzystał Miles Hendon i wzięwszy księcia na ręce, szybko oddalił się w stronę rzeki.

Gdy się to działo poza murami ratusza, w ogromnej sali bawiono się w najlepsze. Nagle herold królewski wszedł uroczyście do sali, zatrąbił i cisza się zrobiła. Wszyscy stali w wyczekującej postawie, gdy herold wygłosił:

— Król życie zakończył!

Całe to świetne zgromadzenie pochyliło głowy na znak żałoby, lecz po chwili wszyscy upadli na kolana i wyciągając ręce do Toma, zawołał wielkim głosem:

nowinę szlachetnemu więźniowi, a wszyscy zgromadzeni wydali daleko grzmiący okrzyk.

— Krwawe rządy już skończone! Niech żyje Edward VI-ty król Anglii!

VI.

Tom, jako król.

Nazajutrz po tym dniu pełnym wrażeń, na zamku królewskim w ogromnej sali tronowej, Tom wspaniale ubrany, siedząc na tronie, przyjmował zagranicznych posłów. Na początku posłuchania bawiły Toma odbierane honory i oznaki czci dla jego królewskiej władzy, bacznie przypatrywał się bogatym, różnorodnym strojom posłów, ale że posłuchanie przeciągnęło się bardzo długo, Tom z wyteżoną uwagą słuchał tego, co mu stojący obok tronu lord Hertford podpowiadał, i w skutek tego bardzo rozsądnie i poważnie rozmawiał z zagranicznymi posłami. Lecz wszystko to tak zmęczyło biednego Toma, że choć dobrze odgrywał rolę młodego króla, ale w duszy czuł się biednym, zmęczonym chłopcem.



Pan Pasek wyrusza na polowanie. (Nr. 36).

Rys. A. Zaleski.

Na drugi dzień Tom pod okiem nieodstępnego prawie lorda Hertford zajął się sprawami państwa, a że lubił się uczyć i nad wiek był rozwinięty, więc z wielką ochotą i ciekawością obznajmiał się z prawami i urządzeniami ówczesnej Anglii.

Na trzeci dzień przyzwyczaił się już do swej godności, wszystkie ceremonie dworskie mniej go już nudziły, a oddawane mu honory uważał za naturalne — pogodził się z narzuconą mu rolą — Niepokoił go trochę paradny obiad, który miał jeść dnia czwartego w obec całego dworu, ale, że był ciągle zajęty, więc nie miał czasu na troski i niepokoje. Z kolei rzeczy nadszedł i ów czwarty dzień. Koło południa Tom był właśnie z lordem Hertford w dużym, posłuchalnym pokoju, czekając na przybycie licznych urzędników i dworzan, gdy nagle spojrzawszy w okno, ujrzał na drodze tuż przy bramie pałacowej, wóz otoczony hałaśliwym tłumem, złożonym z brudnych, obdartych mężczyzn, kobiet i dzieci.

Tom zdjęty ciekawością, zawołał:

— Żywo. Chciałbym wiedzieć, co znaczy ten tłum i te krzyki!

— Jesteś królem — rzekł uroczyście lord Hertford — rozkaż, a dowiem się natychmiast.

— O dobrze, dowiedz się jak najprędzej — rzekł Tom.

Lord Hertford natychmiast zawołał pazia i posłał go z rozkazem do kapitana gwardyi:

— Król każe zatrzymać tłum i dowiedzieć się o przyzwychniętym zbiegowisku!

Za chwilę wysłaniec kapitana gwardyi przyniósł wiadomość, że wrzeszczący tłum otacza wóz, na którym wiozą mężczyznę, kobietę i dziesięcioletnią dziewczynkę, skazanych na śmierć za straszne zbrodnie.

Młodziutkie serduszko Toma ścisnęło się na te słowa, i nie zdając sobie sprawy czy źle lub dobrze robi, zawołał z prawdziwie królewską stanowczością:

— Przyrowadzić tu winowajców!

(d. c. n.)

Korespondencya z Chicago.

14 Lipca 1901 r.

Rok minął, rok cały, aż uwierzyć trudno, od dnia, gdy pierwszy raz pisaliśmy z Chicago do „Wieczorów Rodzinnych,” praca szkolna tak zabiera czas, że doprawdy niewiadomo, kiedy przemknęły miesiące od jednych do drugich wakacyi. W tym roku 85 dzieci opuściło szkołę naszą, przystępując do Komuni Św., po której wedle zwyczaju tutejszego, idą zwykle do pracy zarobkowej i zapominają najczęściej tego, czego nauczą się w szkole. Jedyną ochroną i dźwignią tu naszą, to wiązanie się młodzieży w towarzystwa, które przy dobrym kierunku, podtrzymują zamiłowanie języka, uprawiają też z upodobaniem gimnastykę, muzykę i teatr.

W ciągu ubiegłego roku szkolna nasza dziatwa, dała przedstawienie dwóch komedyjek. Deklamacye i śpiewy urozmaiciły całość, która wcale nieźle wyszła. Sala była przepelniona, a huczne oklaski dodawały otuchy małym aktorom.

Obecnie korzystając z wakacyi, przygotowują się do przedstawień nowych, będą też deklamacye, śpiewy etc. Zabawy takie doroczne są wielką zachętą dla dziatwy szkolnej, bo zwykle za nagrodę najlepsze tylko uczennice i najlepsi uczniowie w nich udział biorą, są przytem probierzem postępu w naukach, zwłaszcza w czystości wymowy polskiej i wyrazem wdzięczności dzieciennych uczuć, dla księdza proboszcza, gdyż się odbywają zazwyczaj w dniu jego imienin.

W tych dniach zawiązanem zostało w parafii naszej sympatyczne bardzo towarzystwo „Macierz Polska,” którego zadaniem głównem jest jednoczenie młodzieży po wyjściu ze szkoły, celem kształcenia dalej wrodzonych zdolności, i pielęgnowanie języka.

Od 1-go września, to jest od roku szkolnego, prócz szkoły na Maryanowie, będziemy mieli jeszcze szkołę parafialną Św. Kazimierza, czyli jak tu mówią na Kazimierzowie, gdzie również około 600 dziatwy polskiej już uczęszcza.

Miło nam przy tej zręczności przesłać wyrazy głębokiego szacunku i wdzięczności.

S-a. A. S.

Dzienniczek Wandzi.

(Dalszy ciąg.)

Tu przesuwały się obrazy rzeczywiście artystycznie obmyślane i nawet w starszych widzach wielki budzą podziw. Królowa tego porcelanowego państwa, chcąc olśnić króla przybysza, pokazuje mu swoje skarby.

Tak więc na tej olbrzymiej scenie teatru Chatelet przechodzą wzory wszystkich stylów i epok z dziedziny wyrobów porcelanowych, z boginią w przepysznej szacie na czele. Szata bogini odtwarza kolorem i deseniem ten rodzaj wyrobu, którego pochodowi przewodniczy; idzie wspaniale wśród światła elektrycznych, niosąc na głowie dzban, lub amforę starożytną, a za nią długi orszak talerzy i talerzyków; dalej drepcą, przebierając drobnymi nóżkami dzieci, filiżanki do herbaty, dzbanuszki, podstawki. Ładny wazon do kwiatów kroczy poważnie, toczą się wazy, podskakują kubki, kubeczki w stylu serwskim, japońskim, chińskim, francuskich najwięcej naturalnie, z brzegami złożonymi, ślicznie, kolorami i deseniami i zdobne. Król sam wreszcie także musi wziąć udział w tym pochodzie, wkładają go w olbrzymi imbryk od kawy w kwiaty malowany, bez dna, więc król przebiera nogami prędko, aby zdążyć za innymi; pokrywa otwarta, widać czubek głowy, ale choćki mu się sprzeciwiają, przykrywają go pokrywką, biorą za ucho. Wreszcie król — imbryk, potrącony pada, rozbija się, wśród przepysznych tańca ruchomych serwisów — ludzi, dzieci, i bogiń w liczbie pięciuset.

Znów się zaślona podnosi — obraz ostatni: Król zdobywa się z królestwa porcelany, już kroczy w góry, coraz wyżej i wyżej, natrafia na kryształowe, ogromne schody, błyszczące tęczwami kolorami u szczytu, na jakiś punkt grzejący — to serce królowy, radość ogromna, królewicz wbiega po czerwonych stopniach, wśród dźwięków ślicznej muzyki i zdobywa ten skarb najlepszy dla swej narzeczonej, która miała wszystko, piękność i brylanty w koronie, ale nie mogła dać szczęścia ani ojcu staremu, ani wiernym poddanym, póki nie odzyskała serca.”

Jaka ta ciocia Kostunia dobra, żeby sobie zadać tyle pracy dla zrobienia mi przyjemności, ale bo też rzeczywiście, zrobiła mi tem opisem wystawę ogromną radość. Warto było właściwie zostać w Paryżu na czas wystawy, aby te wszystkie dziwy własnymi oczami oglądać. Nawet mamusia czytała ten list cioci z wielkiem zajęciem. Przepisałam go sobie tutaj w dzienniczku, aby mi nie zaginął, bo oryginał posłałam ojczuszkowi; w ogóle wszystkie listy z kraju przychodzące, ojcu po przeczytaniu posyłamy. Mój Boże, ja się tak przyzwyczaiłam listy z Francji nazywać listami z kraju, ale to może dla tego, że w myśli namywały, La Barre, gdy mówię o Francji, a tam to rzeczywiście jest prawdziwa nasza oaza polska. To też o nich

myśląc mogę z Asnykiem mówić: Wciąż do tej zielonej oazy wybiegam sercem i myślą i wzrokiem.

Z okazji tego listu podziwiałam sama siebie, jak dobrze i gładko umiem tłumaczyć z francuskiego na polskie i odwrotnie, bo Jeanne, słysząc o treści listu cioci, prosiła mnie o przeczytanie jej całego, czytałam więc jej po francusku, mając przed oczami list po polsku pisany.

Jako to jednak dobra rzecz posiadać obce języki, muszę się wziąć na serwo do pracy nad angielskim, zwłaszcza, że mama znając ten język dobrze, może mi być wielką pomocą, tylko niestety teraz do niczego głowy nie ma mi, bo chociaż się na chwilę odetchnie, dostawszy list od ojczuszka, to znów po kilku dniach te same smutne opadają nas myśli i strachy, co wprzód.

Dzisiaj odjechali państwo S. Boże! jacy oni biedni. Ten ich odjazd, to była prawdziwa tragedia.

Mamusia zabrała mnie z sobą do szpitalu, pragnąc abym się z nimi pożegnała, chociaż ona biedna i tak wiedzieć nie będzie, czy mnie widziała, czy nie. Rada jednak jestem bardzo, że mogłam się pożegnać z Albertem. Ach! jaki to miły i ładny chłopczyzna. Szkoda doprawdy, że odjechali. Śmiał się do mnie tak przyjaźnie, pozwolił się wziąć na rękę bez płaczu.

Było to około trzeciej, a szalupa odjeżdżała o piątej. Pani S, gdy przyszliśmy do niej z mamą, była więcej z denerwowana niż zwykle, nie chciała się wcale ubierać, a męża, mającego na nią najwięcej wpływu, nie było, bo jak to zwykle w ostatniej chwili miał tysiąc rzeczy do załatwienia. Przy pani S. był tylko doktor, młody człowiek, ale pełen poświęcenia. Mamunia wzięła się energicznie do ubierania biednej chorej, która z początku sprzeciwiała się, ale potem dała się namówić i pozwoliła sobie wszystko wkładać. Pomogłam mamusi ubrać dziecko, i pozbierałam ostatnie rzeczy, których było jeszcze ogromnie dużo. Kufry pełne odesłała mamusia na szalupę, a panią S. z dzieckiem, mamką i doktorem wsadziła do powozu, same z panem S., który wreszcie powrócił z miasta obciążony okropnie, siadamy do *pousse pousse*. Trzymam w rękę paczkę z bielizną, mając na kolanach stopy rzeczy, na samym wierzchu kapelusik dziecka i pani kapeluszek.

Zaczyna padać deszcz, mamusia bieliznę chowa za siebie z obawą, aby nie zmokła. Na szczęście byliśmy pierwsi przy szalupie. Kazała mamusia otworzyć zaraz zamkniętą dla nich kajutę, aby tam złożyć wszystkie rzeczy. Jak tylko odjechał powóz z panią S. mamusia wzięła dziecko na ręce, doktor trzymał mu nad główką kask, panią S. sadzamy w salonie, bo w kajucie za gorąco. Biedaczka była bardzo zadowolona, śmiała się nawet, ale gdy siedząca przy niej mamusia dała jej w rękę chustkę, zaraz ją rzuciła do wody przez okienko otwarte. W tem statek daje znak odjazdu, wpada komisant: *Madame nous partons*. a samej zostawić jej nie możemy, szczęśliwie pan S. wchodzi, bo odszedł na chwilę aby pożegnać się z kolegami, uciekami.

Czem będzie ta podróż dla niego, to strach pomyśleć! Ma 22 pakunki, dziecko z mamką ananicką, która przerażona oczy na wszystko wytrzeszcza, i chorą żonę której na jedną sekundę samej zostawić nie można, potrzebującej tej samej, a nawet większej opieki niż mały Albert. Szczęściem jedzie z nimi ordynans dobry bardzo i szczerze do nich przywiązany. Sam pan S. nie jest zupełnie zdrow, bo czuwanie przy żonie nadwyrężyło jego silnie dotąd zdrowie, na wyjeździe miał wypieki gorączkowe na twarzy.

Ale nie koniec jeszcze na tem; jeśli pani S. nie będzie spokojną, to kapitan ma prawo ich wysadzić w pierwszym porcie i będą musieli czekać na statk inny, bo ten, którym wyjeżdżają, nie ma obowiązków chorych tego rodzaju z sobą zabierać. Ach! jak mi ich szczerze żal, płakałyśmy z mamusią nad nią, wspominając jaką ona była dla nas dobrą zawsze a teraz, aż strach słuchać, tak od rzeczy mówi, raz płacze, to znów śmieje się. Ananicy cierpią podobno

bardzo na morską chorobę, więc jest obawa, aby mamka w drodze nie zasłała i dla tego zabrał pan S. z sobą kilka pudełek z mlekiem i różne przyrządy do karmienia małych dzieci. Może da Bóg, że powietrze morskie i wogóle zmiana atmosfery będą dla niej zbawienne, co daj Boże, w przeciwnym razie rodzina przerazi się jej stanem.

Doprawdy nie mogę o niczem innym myśleć, tylko o tych biednych podróżnikach, jak się miewają, czy chora spokojna, czy dziecko znosi dobrze niewygody podróży.

Mówiłam na ich intencję już kilka razy moją dziękuję na różańcu od cioci Kostuni. Łzy mi się cisną do oczu, ot lepiej przestanę pisać, kiedy niema nic dobrego do pisanja.

Hanoi w sierpniu.

Od kilku dni deszcz leje bezustanku, zimno i wilgotno, siedzę ubrana zupełnie, mam pończochy i trzewiki i jeszcze musiałam zamknąć drzwi od werendy. Książki, buciki, siodełko, rowery, wszystko pokrywa się pleśnią. Codziennie służący musi oczyszczać nawet rzeczy zamknięte w kufku, których niema gdzie suszyć. Mówią tutaj, że z małymi wyjątkami będzie tak lato przez cały sierpień i wrzesień. Ananicy się cieszą, bo była ogromna susza i obawiali się o zbiór ryżu, więc obecnie są zadowoleni.

Ogólnie twierdzą, że deszcz w tym roku znacznie się opóźnił i niezwykle było gorąco, dla mnie znowu to gorąco tak niemożliwe do zniesienia nie było, widać, że klimat tutejszy znoszę niezłe. Są tutaj tacy, co prawie bez życia leżą przez południe i z trudem oddychają.

Z powodu tej suszy był ogromny kurz, bardzo dla zdrowia szkodliwy, to też szpitale są przepelnione chorymi i codziennie ktoś umiera. Dałby Bóg, aby te choroby ustały, ale osoby, znające tutejszy klimat, mówią, że za dwa lub trzy miesiące, gdy wezbrane w czasie pory deszczowej jeziora i rzeki zaczną opadać, choroby z powodu wiewów jeszcze się wzmożą.

Zanim tu przyjechałam, tyle się nasłuchiłam o tutejszym gorącu i wilgoci, a jednak nie miałam wyobrażenia, do jakiego dochodzą stopnia. Jak tylko słońce trochę wejdzie, trzeba będzie materac na powietrze wystawić, bo już dzisiaj trudno było spać, tak go czuć było wilgocią, raczej grzybami. Buciki i wszystko co jest skórzane od rana do wieczora pokrywa się grzybami.

(d. c. n.)

Z E Ś W I A T A.

Jubileusz fotografii. W lipcu r. b. upłynęło 50 lat od śmierci Daguerre'a, wynalazcy sztuki, którą imieniem jego nazwano: daguerrotypią. Już w 1727 r. lekarz niemiecki J. H. Schultze z Halli odkrył wrażliwość świetlną soli srebra i zastosował swój pomysł do kopiowania pisma za pomocą promieni słonecznych, kopie te jednak, również jak i obrazy, które przyrodnicy angielscy Wedgewood i Dawy metodą jego otrzymywali, były nietrwale. Przyrodnikowi francuskiemu. Józefowi Niépce z Châlons po raz pierwszy udało się utrwalić obrazy rzucone z ogniska komory ciemnej (*camera obscura*: metoda jego jednak była dość zmudną a obrazy nie dość wyraźne. W pracy nad udoskonaleniem wynalazku od r. 1829 pomagał Niépce'owi, Ludwik Daguerre. Niépce nie dożył tryumfu swego pomysłu. Rozgorączony niepowodzeniem swoich zabiegów, który od r. 1814 cały swój czas poświęcił, zmarł w 1833 r. Tymczasem Daguerre czynił dalej próby, a pomyślny traf naprowadził go na znakomite odkrycie: za pomocą gazów rtęciowych wywołał obraz, którego zdjęcie uskutecznił w ciemnym miejscu. W 1839 r. Daguerre złożył trwałe obrazy francuskiej Akademii Umiejętności. Na wniosek trzech znakomych przyrodników: Arago, Biota i Aleksandra Humboldt'a, rząd francuski kupił wynalazek Daguerre'a zapewniając i synowi Niépce'a roczną pensję na po-

siedzeniu Akademii d. 19 sierpnia 1839 r. Świat naukowy zdumiony był odkryciem nowej tajemnicy. Rozwój fotografii postępował bardzo szybko, z każdym rokiem przynosząc nowe udoskonalenia i nowe zastosowania. W cztery tygodnie po ogłoszeniu odkrycia Daguerre'a sporządził niejaki Sachse w Berlinie pierwszą odbitkę, którą do dnia dzisiejszego można oglądać w Akademii rzemioł w Berlinie. Dalej Morsé, malarz w New Yorku, który się potem wslawił wynalazkiem w telegrafii, wykonał pierwszą fotografię na szkle. Fotografia ta zyskała wartość jednak dopiero dzięki Anglikowi Talbot, który wpadł na pomysł wykonywania z niej odbitek w dowolnej ilości egzemplarzy. A gdy fotograf nadworny cesarza Napoleona zaprowadził dla fotografii format biletów wizytowych, nie było omal człowieka, któryby o swej lub czyjejs podobiznie nie zamarzył.

Nieocenionej wartości nabrała sztuka fotograficzna od chwili, gdy nauczono się robić zdjęcia tak zwane momentalne, za pomocą których mamy udostępnione takie zjawiska, jakie, wskutek krótkiego trwania, nie pozostawiały wrażenia na siatkówce oka ludzkiego, a przeto uchodziły, uwadze ludzkiej.

Z Pragi Czeskiej.

Praga, stolica Czech, po czesku *Praha*. Leży w dziwnie pięknej i malowniczej miejscowości, na obu brzegach rzeki Wełtawy. Posiada mnóstwo pięknych gmachów zarówno dawnych, jak nowych, a między innymi uniwersytet założony przez cesarza Karola IV w 1348 r. Miasto dzieli się na pięć części, z których najpiękniejsze są Stare i Nowe miasto, oraz Mała Strona. Wspaniale wygląda zamek królewski na górze zwanej Hradczynem, kościół katedralny z wysoką wieżą i mnóstwem pinników. Połączenie między obu brzegami Wełtawy zapewniają trzy mosty, z których najdawniejszy i najokazalszy jest most Karola IV, zbudowany w 1375 r., z którego został stracony do wody na rozkaz króla Wacława św. Jan Nepomucen.

Opis wszystkich osobliwości tego pięknego grodu, zająłby zbyt wiele miejsca, tymczasem podajemy tylko jeden z jej widoków — a mianowicie plac św. Wacława z Muzeum królestwa Czeskiego w głębi. Muzeum to założone w r. 1818, zawiera mnóstwo ciekawych zabytków i okazów, zarówno z przeszłości, jak i obecnych czasów.

Pragę założyła podobno księżna Libusza w 732 roku. Najświetniejszym okresem dla niej był czas od XIII w. do r. 1621, t. j. do bitwy pod Białogorą, po której Czesi stracili niezależność. Dopiero od początku XIX wieku, zaczął się na nowo wraz z rozwojem ogólnym czeskiego narodu, rozkwit tego pięknego miasta, które liczy już z górą trzykrotnie sto tysięcy mieszkańców.

Przypominamy o wczesnem ODNOWIENIU PRENUMERATY na kwartał IV -ty dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna

W Austrii rocznie koron 13. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA MAZOWIECKA NR. 10.

TREŚĆ: W lesie, wiersz (z ryc.). — Wakacje w Warszawie, pogadanka o architekturze, przez Waleryę Marrené Morzkowską. — Przygody królewicza Edwarda. — Pan Pasek wyrusza na polowanie (rycina). — Korespondencya z Chicago. — Dzienniczek Wandzi. — Ze świata. — Z Pragi Czeskiej (z ryc.) — Łamigłówki i rozwiązania. — Dodatek: Z prawdziwego zdarzenia przez Franciszkę G. (z ryc.) — Z książki przysłów, wiersz. — Królowa Macierzanka, przez Andrzeja Niemojewskiego. — Dzieci w podróży. — Łamigłówki i rozwiązania. Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Hrabina, powieść przez Teresę Jadwigę

Redaktorka Ludwika Hauke. Доволено Цензурою. Варшава 26 Августа 1901 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

SZARADA.

uł. Maryla.

Pierwszej z drugą poszukaj w Italii krainie,
Gdzie jako wód zwierciadło pięknością swą słynie.
Pierwsze z trzeciem znówu przyroda troskliwa,
Drzewa, niby sukienką, starannie okrywa.
Złączone drugie trzecie nazwę ci przedstawi,
- Rysunku na jedwabiu, które oko bawi
Swą fantazyą i blaskiem. Zaś znów *wszystko* bywa
W każdej chacie, bo tam to gospościa ukrywa
Skarby swoich zapasów i skrzynie z odzieniem,
Lecz jest także i urząd zwany tem imieniem.

ARYTMOGRYF.

- 1) 2, 5, 8, 4, 2, 12, 11, 2. Nazwa pokładu geologicznego.
- 2) 5, 1, 4, 6, 4. Przysłot pilnego ucznia.
- 3) 16, 4, 4, 16, 4, 17, 3. Wyspa duńska.
- 4) 2, 18, 4, 11, 4. Ojczyzna Odysseusza.
- 5) 5, 16, 10. Twierdza w Wirtembergii.
- 6) 12, 4, 10, 5, 10. Wiatr pustylny.
- 7) 13, 2, 14, 16, 2, 17, 12, 11, 2. Autor poem. „Kirgiz.”
- 8) 12, 9, 16, 14, 15. Miejsce kąpielowe w kraju.
- 9) 16, 5, 11. Broń starożytna.
- 10) 9, 7, 14, 16, 2, 12, 11, 2. Kolumny piramidalne.
- 11) 1, 4, 17, 3, 4, 16, 9, 1, 2, 14. Lud germański z II w. [po Chr.]
- 12) 4, 13, 9, 1. Miasto nad m. Azowskiem.
- 13) 15, 2, 17, 15, 2, 17, 4, 18, 2. Miasto w stanie Ohio.
- 14) 11, 10, 2, 15, 2, 15. Bohater z Trylogii Sienkiewicza.
- 15) 2, 1, 9, 17, 2, 15, 13. Miejsce kąpielowe w Galicyi.

Zastąpić liczby literami i utworzyć wyrazy, których pierwsze i ostatnie litery złożony mają nazwiska dwóch poetów polskich z XIX w. złączone spójnikiem.

ROZWIĄZANIA DO Nru 35-go.

Szarady: O — pie — ka.

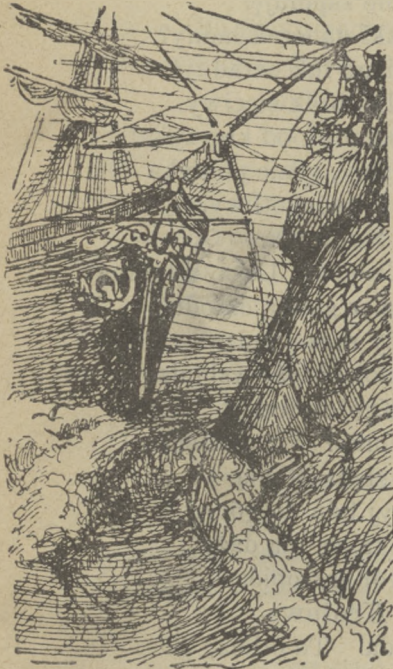
Łamigłówki sylabowej:

- 1) KanguR. 2) KongO. 3) Kalisz. 4) Kanada. 5) Kolumb.
- 6) Korale. 7) Kaukaz. 8) Karnak. 9) Koło. 10) Karmel. 11) Kamieniec. 12) Kopyto. 13) Kraków.

Róża bez kolców.

Sprostowanie. Nr. 35 str. 273, wiersz 26, powinno być: Ludwik K. urodził się w r. 1823. N. 36, str. 283, szpalta pierwsza wiersz 14, „Ludgardy, Ludwika Kropińskiego.”

ZAGADKA W OBRAZKU.



Gdzie
znajduje
się
kapitan
tonącego
okrętu?

Z prawdziwego zdarzenia.

— Jeść, jeść! — woła bezustannie mała Ańdzia, tułac się do starszej siostrzyczki, — Zosiu moja kochana, moja droga! tak mi się strasznie chce jeść, że już nie mogę wytrzymać.

W maleńkiej suterence jest trochę ciemno, widać jednak w kącie troje dzieci przytulonych do siebie.

— Widzisz Ańdziu, jakaś ty niegrzeczna! przyrzekałaś mamie czekać cierpliwie a mażesz się i mażesz. Janek też nic jeszcze dzisiaj nie jadł, a patrz jak siedzi cicho.

— Kiedy ja naprawdę już nie mogę.

— E, jeszcze troszeczkę można poczekać, bo jeno patrzeć, jak mama przyjdzie i przyniesie chleba, a może nawet i mleka. No, jeszcze chwilę tylko czekaj cierpliwie; patrz na drzwi, któremi mamusia wejdzie, a ja tymczasem opowiem wam bajeczkę.

— Był sobie raz jednego taki wielki, wielki pałac, a w tym pałacu żyła zamieniona w myszkę dziewczynka. Uszki miała mysie, łapki mysie i piszczała tak jak myszka. W pobliżu było dużo chleba, dużo bułek, dużo mleka, ale...

Zośka przerwała opowiadanie, bo za drzwiami dały się słyszeć kroki i skrzypnęła zardzewiała klamka.

— Mama! mamusia!

Dzieci zrywają się, przewracają stolki, każde z nich chciałoby pierwsze dopaść wyglądanej matki, lecz spotkał je zawód, bo w progu stanęła nieśmiało żebraczka. Siwe włosy wymykały się jej z pod szarej chusteczki, odzież miała połataną, w ręce kij sękaty a w drugiej parcianą torebkę.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — rzekła, wchodząc do stancyjki. — Opatrzcie czem biedną babcię, a Bóg wam zapłaci!

Na ten widok nawet i cierpliwy Janek rozplakał się głośno, a babcia myśląc, że dzieci jej się boją, zaczęła je uspakajać.

— Nie bójcie się, robaczki, ja wam nic złego nie zrobię.

Lecz gdy dowiedziała się, że im tylko żal, iż babce biednej nic dać nie mogą, bo same są biedne, że matka poszła odnieść wypraną bieliznę i miała zaraz wrócić z chlebem, a nie wraca, że one jeszcze dzisiaj nic nie jadły i że bardzo są głodne.

— A to wy dzieci biedniejsze jesteście ode mnie; kiedy tak, to się z wami podzielę tem, co mam.

I żebraczka siadłszy na stołeczku, zaczęła wydobywać z torby to, co u ludzi wyprosiła: kawałek chleba, suche bułki, kilka kawałków starej wędliny i znowu chleb i bułkę.

— Jedzcie dzieci, niech wam to będzie na zdrowie, mnie może litościwi ludzie jeszcze czem dzisiaj opatrzą.

I babka stukając kijem, poszła dalej, a z sutereny już nie było słyhać płaczu, tylko chrupanie suchych bułek i chleba.

Franciszka G.

Z księgi przysłów.

Ludwik ma zabawny zwyczaj,
Można uśmieć się z Ludwika:
Czy rysuje, czy też pisze,
Wysuwa koniec języka.

I gdy pisze w takt językiem
Manewruje wielce żwawo,
To nim wodzi w lewą stronę,
To posunie go na prawo.

Zwyczaj ten wszedł mu już w nałóg,
Językiem suwał bez wiedzy,
Aż nareszcie dnia któregoś
Spostrzegli jego koledzy.

Wnet zaczęli się wyśmiewać
I wyszydzać na wsze strony,
Ludwik temi ich kpinkami,
Czuł się mocno zawstydzony.

A wzięwszy do serca drwiny,
Nad sobą czuwał wytrwale,
Tak, że w miesiąc już języka,
Nie wysuwał na wierzch wcale.

Tą prędką Ludka poprawą
Wszyscy byli zadziwieni,
Bo przysłowia zapomnieli:
Nałóg odmiemi, kto się nie leni

Lach.

Andrzej Niemojewski.

KRÓLOWA MACIERZANKA.

(Dalszy ciąg.)

Kościej.

Strzeż się sunąć nad głębiną
Tu w polocie orły giną!

Gołąbka.

Ratuj, ojcze, tam przez wody
Z matką mknie królówic młody,
Jasne gwiazdki drżą na czole
I księżyc sierp ma w dole!
Ja go kocham, ojcze drogi...
Ucisz, ucisz przestwór wrogi!

Kościej.

Mówisz: gwiazdy? sierp księżycy?
Ha, niech milknie nawałnica,
Niech zapada szlak głęboki,
Bo wypełnią się wyroki!
Przepowiednia stara wróży,
Że on zjawić się miał w burzy,
Odczarować moje dziecię —
Milczcie wichry i zamiecie,
Zapadajcie głębie morza
Od przestworza do przestworza!

(Kościej i gołąbka znikają).

(Z głębin morskich wynurza się malownicza skalista wyspa, porośnięta palmami i cyprysami. Widnieje na skale wspaniały zamek, przed którym stoi warta i liczne dworzany. Kryształowy statek osiada na brzegu. Królowa i królówic wstępują na ziemię).

Królówic.

Matuleńko, kres podróży!
Jakaś wyspa, pełno wzgórz,
Kraj czarowny! Co zieleni!

Kędy stanąć kwiat się mieni!
To jak ogród Pana Boga,
Tu zostanmy, matko droga!

Królowa *(kłęka)*.

Za cudowne ocalenie,
Za ratunek i zbawienie,
Uchowanie tej dzieciny,
Tej ostatniej, tej jedynej,
Królujący na przestworze
Przyjmij dzięki, wielki Boże!

Królówic.

Hola, matko, już głód czuję
A więc sobie zapoluję!
Widzisz, jaki dąbczak ładny?
Będzie z niego łuk paradny!
Jeszcze tylko brak cięciwy.
Ach, jest sznurek od krzyżyka!
Teraz patrzmy, gdzie pomyka
Jaki ptaszek świegotliwy.

Królowa.

Ciesz się, dziecię! Lecz tą bronią
Nie odpędzisz głodu, chłodu...
Poszukajmy raczej ludzi,
Los nasz może litość wzbudzi.

Królówic.

Litość? Żebrać? Nie, mateczko!
Zapracuję słabą dłońią.
Ale spojrzysz hen do góry:
Lśni gołąbka, za nią dąży
Jakiś potwór szaropióry!

Królowa.

Biada, biada! To orlica,
To orlica owa krąży,
Ta, co syny me porwała,
Tylko ciebie nie dostała!
Pójdź tu, synu, między skały,
Ach, do matki pójdź struchlałej!

*(Ukazuje się w przestworzu gołąbka ścigana przez orlicę).***Orlica.**

Kra-kra! Gołębico biała,
Kra-kra! Kra-kra!
Tyś Kościeja namawiała,
Z morza ich wyratowała,
Kra-kra! Kra-kra!

Gołąbka.

Ulituj się, ulituj, orliczko szaropióra!
Tak krótko na świecie żyłam,
Z szczęścia krynicy nie piłam,
Ulituj się, ponura!

Orlica.

Kra-kra! W białej piersi zatopię szpony,
Pragnę twojej krwi czerwonej,
Kra-kra! Kra-kra!

Królówic.

Nie lękaj się, gołąbko! O biada ci, orlico!
Tyś braci mych porwała,
Tyś matkę zatroskała,
Ptaku zuchwały!
Zgrzytnie cięciwa, strzały zaświecą,
Celne me strzały,
Zginiesz, okrutna orlico.

Orlica.

Kra-kra! Słyszę głos jego!
Do niego! Do niego! Do niego!
Matkę i syna zadziobię,
Kra-kra! Kra-kra!
Dziób w sercu, szpony w wątrobie —
Kra-kra, kra-kra —
Zatopię! Rozedrę w kawały —
Kra-kra, kra-kra!

Królowa.

Biada!

Królewicz

Giń ptaku zuchwały!

Orlicę przeszła strzałą pada na morze).

Orlica.

Tchu, ginę... kra-kra... daremno...
Och siostró, pomyśl o zemście,
Nie daj jej z królem się złączyć,
Przy nim żywota dokończyć,
Kra-kra! Kra-kra!...
W oczach ciemno...
Kra-kra...

(Ginie w morzu. Gołąbka kołuje nad królewiczem).

(d. c. n.)

DZIECI W PODRÓŻY.

(Dalszy ciąg)

Lecz, że zmęczenie i głód zubożniają na inne wrażenia, więc dziwić się nie można, że dalsze zwiedzanie Czerwonego Klasztoru i opustoszałego kościoła, odbywa się bez zapału. Wszyscy wdychają do tej „Śmierdziączki” gdzie ich czeka obiad i wypoczynek, bo daje się im już we znaki odbyty spacer. Niemała to rzecz trzy godziny marszu!

Dopiero odkrycie uczynione przez Tadzia, ożywia dzieci: na murze opasującym podwórzec klasztorny nagryzmołono wielkimi literami: „Deutschland über alles.”

— To ten Niemiec ze Szczawnicy, jest gdzieś blisko, bo napis dotąd nie zasechł. Zaraz go zamażemy!

Dzieci rzucają się z zapałem do zbierania trawy i gałązek na wiecheć, którym Tadzio z wielkim rozmachem zaciera litery.

Opuszczają potem Czerwony Klasztor i idą już prosto do „Śmierdziączki.” Jest to miejsce kuracyjne, nazwane tak brzydko z powodu siarczanych źródeł, używanych tu do kąpieli. Tadzio proponuje żeby zamienić tę nazwę na „Pachniączkę” co brzmi daleko ładniej dla tych, co mają tam jeść obiad. Ale po przybyciu do restauracji zapominają wszyscy o tem, bo mają niespodziewany kłopot. Służąca Węgierka nie rozumie innego języka prócz węgierskiego i porozumieć się z nią niepodobna, tem więcej, że spis potraw także tylko po węgiersku napisany.

Obaj tatusiowie i mamy niecierpliwą się na Węgrów i dopiero jakiś młody człowiek przychodzi z po-

mocą, ofiarując się za tłumacza. Dzięki jemu Węgierka przynosi obiad. Naturalnie, kto jest na Węgrzech musi jeść węgierskie potrawy, suto przyprawiane papryką, to jest czerwonym pieprzem tureckim. Dzieciom aż lzy w oczach stają, tak ich pieprz szczypie w gardle, ale jedzą odważnie. Po obiedzie za to Janek dla ochłodzenia spalonego języka, wysuwa go co chwila w całej długości, a Tadzio przepowiada, że i w nocy Janek będzie przewietrzył nieszczęśliwy język, cierpiący za łakomstwo właściciela.

Jeszcze nasze towarzystwo nie wstało od stołu, gdy wchodzi... Niemiec! Ale teraz już bez szala na szyi i mniej ochrypnięty. Ciekawa rzecz, czy zobaczy, że zamazano jego napis? Dzieci chichocą się, rade ze spletanego figla a Niemiec spogląda na nich ponuro, co jeszcze zwiększa ich wesołość. Szczególnie Janek bardzo jest ożywiony, do czego może trochę przyczyniło się węgierskie wino, niezbędne po jedzeniu pieprznych potraw. Dość, że z takim zapałem wysuwa coraz częściej język, spoglądając przytem w stronę przybysza, iż nie byłoby nic dziwnego, gdyby Niemiec uznał to za rozmyślną obrazę...

— Janku! daj pokój! — upominają go Tadzio i Janka.

Ale malec tak się rozegrał, że trudno go już poskromić. Na szczęście, rodzice dają hasło do wyjścia i przed restauracją zasiadają w cieniu drzew, a dzieci biegają rozpatrując się w Śmierdziączce, w której coprawda, niewiele jest do widzenia. Janek, straciwszy z oczu Niemca, zaczyna być wrogo usposobiony dla Węgrów, których pełno się kręci. Nie może im widocznie przebaczyć języka spalonego węgierską papryką i wysuwa go co chwila. Helenka, jak to Helenka, chichocze się bezustannie, a upomnienia Tadzia i Janki nic nie pomagają. Na szczęście zaczyna grać cygańska muzyka, a Janek zasłuchawszy się, zapomina o swoich nedorzecznych figlach.

Cyganie nie znają nut — nie uczyli się muzyki — grają tylko ze słuchu: ale jak grają! Taki smutek odzywa się w ich skrzypkach, że na płacz zbiera się słuchaczom.

— Jacy oni muszą być biedni, jacy nieszczęśliwi! Tak smutno grają! — woła Helenka ze łzami w oczach, gdy muzyka ucichła.

Wysoki Cygan z ogromną czarną czupryną — dyrektor orkiestry — obchodzi słuchaczy i podaje miseczkę, na którą wszyscy rzucają pieniądze.

Może to jaki kuzyn Bronisia? — szepce Helenka.

Każde z dzieci rzuca na miseczkę srebrny pieniążek a cygan uśmiecha się do nich, błyskając czarnymi oczami i białymi, jak u wilka zębami.

I wszystko byłoby się dobrze skończyło, gdyby nie to, że nadbiegło kilkoro dzieci, rozmawiających po węgiersku. Najstarszy w tej kompanii chłopczyk, w wieku Janka, czarny i gruby jak niedźwiadek, rozprawiał coś żywo, a z jego ust sypały się wyrazy twarde i ostre jak kamyki.

— Jak oni mogą rozmawiać takim dziwnym językiem — mówi Helenka, nie zastanawiając się, że powiedziała nedorzeczność.

Janek wciąż rozigrany, woła patrząc na Węgrów.

— Indyki najlepiejby ich zrozumiały! Gul! gul! gul! Węgierskie dzieci nie rozumiały co Janek mówi,

ale jego mina i powtarzanie wciąż gul! gull! gull! zwróciło w końcu ich uwagę.

I stało się to, co się musiało stać, że gdy Janek czwarty czy piąty raz zagulgotał po indyczemu, węgierski malec rzucił się z pięściami na niego. Naturalnie Janek nie stchórzył, i rozpoczęła się śmieszna bójka pomiędzy malcami: łup! łup! jeden drugiego...

Widzieliście pewnie nieraz dwa młode kogutki, rozłoszczone i pocieszne, gdy najeżywszy piórka, doskakują do siebie i biją się zajadle po łebkach? Takie samo widowisko zrobili z siebie Janek i mały Węgier, ku wielkiej ucieście patrzących, którzy nie pytając o co malcom poszło, śmieli się do rozpuku z ich zażartości.

Dopiero nadbiegł Tadzio i rozbroił walczących, co mu przyszło nie bez trudności. Uprowadził przemocą Janka, a małego Węgra zabrała jego mama, ale rozbrojeni — nie pogodzeni — oglądali się jeszcze z gniewnymi minami na siebie.

— Wstyd! wstyd! Janku!... — powtarzał Tadzio rozgniewany.

A gdy się dowiedział, o co poszło, oburzył się niesłychanie.

— Wyśmiewać się z kogoś dlatego, że mówi innym niż my językiem? To się nie godzi!

— A czemu oni tak śmiesznie mówią? — tłumaczył się Janek, nie chcąc uznać swojej winy.

— A miłoby ci było, gdyby się kto śmiał z ciebie?

— To co innego! Ja mówię ładnie!

— Dla nas, bo to nasz język. Ale nie wolno wyśmiewać się z cudzego, bo każdemu jego mowa jest miła. No! jak się rodzice dowiedzą coś ty narobił...

Janek zawstydzil się, ale usiłował nadrabiać miną i dowodził, że się cieszy, bo „dał Węgrowi dobrze.” O tem że i sam przytem dostał, nie mówił jakoś, tylko w miarę, jak się zbliżał do rodziców, topniała jego odwaga. A dziewczynki żartowały, że to miejsce, gdzie nawet malcy rozpoczynają z sobą bijatki, powinno się nazywać „Bijaczką.”

(d. c. n.)

SZARADA.

od Zbyszka dla Wichury.

*Pierwsze rzeka, którą we Włoszech znajdziecie,
W ogrodach i na łąkach rośnie drugie trzecie;
A zaś wszystko na ogniu bywa gotowane,
I na stół biesiadnikom nieraz podawane.*

LAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

Ul. Bławatek.

* Zastąpić kropki i gwiazdki literami
. * . . . i ułożyć wyrazy, których litery oznaczo-
. . * . . ne gwiazdkami, złożą imię księżniczki
. . . * . polskiej. 1) Rzeka w Rosyi. 2) Olej
. . . . * skalny. 3) Rzadka tkanina używana do
żarów. 5) Opera Moniuszki.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 35-go.

Zagadki: Waza.

Łamigłównki sylabowej:

1) Ewa. 2) Ulan. 3) Ręka. 4) Ontario. 5) Paryż. 6) Ateny.
Europa.

Skrzynka do listów.



Nie dziwimy się Świtezianko, że szyjąc ubranka dla dzieci służby domowej, nie masz czasu brać udziału w konkursie robót. Dobre podjęłaś zadanie; serdeczny stosunek zawiązany z ludźmi najbliższymi cię obchodzącymi, wzbudzi w ich sercach wdzięczność dla paniąki, która o potrzebach uboższych pamięta i własną pracą rada im przychodzi z pomocą. Zabawił nas opis spacerów z pieskami: Slopem i Boksem w uprząży przez was uszytej. Powiastka, o którą zapytujesz, była już drukowaną; zapewne w ciągu lata niezbyt dokładnie czytałaś każdy numer Wieczorów.

Ładną kartę Łochozwianki, zachowamy dla Jaskółki, która sama podziękuje za dowód pamięci. Sądzymy jednak, że obok nadsyłanych widoków miejscowości zwiedzanych, nie poskapisz nam obszerniejszego opisu tych pięknych nadmorskich okolic, w których tak wesoło i przyjemnie spędziłaś chwile wakacyjne.

Piszesz nam Jagódka leśna, że wstąpiwszy z mamą do kościoła św. Aleksandra wieczorem, ujrzałaś świątynię jasno wewnątrz oświetloną, a w niej liczne rzesze przeważnie ludzi rzemieślniczego stanu, obchodzących nabożnie odprowiany obecnie w całym katolickim świecie Jubileusz. W odpowiedzi na twoje zapytania, objaśniamy, że: obchód Jubileusz sięga dalekich czasów, bo historyi starego Testamentu. Izraelici, każdy z porządku przypadający rok pięćdziesiąty, obchodzili uroczyste, zowiąc go rokiem *przebaczenia* lub *odzyskanej swobody*; darzyli wtedy niewolników wolnością i zabrane ziemie zwracali dawnym jej posiadaczom. W naszym Kościele pierwszy jubileusz wprowadził papież Klemens VIII r. 1300, nakazując ponawiać go z początkiem każdego stulecia, dla uproszenia na czas jego trwania błogosławieństwa Bożego dla Kościoła św. i wszystkich narodów tej ziemi. W celu otrzymania łask nam potrzebnych Ojciec św. zaleca wiernym pobożne odwiedzanie kościołów, zanoszenie w nich gorących modlitw i gorliwsze spełnianie dobrych uczynków. Rok Jubileuszu czyli Miłościwego lata, obchodzony był w Rzymie z wielką uroczystością roku zeszłego, a papież Leon XIII jubileusz ten dla katolików przedłużył do sześciu miesięcy, abyśmy prosili Boga, iżby zgoda, spokój, braterstwo zaprowadził na całym świecie chrześcijańskim.

Rozwiązania i zadania własnego układu nadesłali: Krwa-wa ręka (niech zmieni na inny mniej srogi swój pseudonym), Janna i Anna Micińskie, Lilijka z Chmielnej, Srocza i Jelonek.